

SEN

Silny wiatr niosący ze sobą piasek pustyni wiał w facjatę Montiego. Szedł sam wycieńczony przez pustkowia. Kierował się w kierunku małego miasteczka, albo raczej tego co po nim pozostało, wspominając przyjazne czasy sprzed wojen, które zmieniły ten świat nie do poznania. Miejsce to nazywano Limpeksem. Wykrzywiona twarz, przymknięte oczy i zaciśnięte zęby. Właśnie tak teraz wyglądał. Docierał do osady. Przed wejściem natknął się na faceta z blizną na twarzy. Mamrotał coś pod nosem. Prawdopodobnie był jakimś nędzarzem, jakich tu zresztą pełno. Nie bacząc na niego ruszył do miejscowej knajpy. Tam miał się bowiem spotkać z Klarą - pośredniczką. Gdy dotarł na miejsce nie rozczarował się. Tak jak przypuszczał była to zwykła speluna, taka jakich w tych czasach nie brakowało. Brudna, poobcierana podłoga, unoszący się smród potu i alkoholu. Każdy stół wyglądał inaczej, krzesła zresztą też. Nic do siebie nie pasowało. Było tylko to co udało się znaleźć i zdobyć. Meble były nie raz naprawiane i odświeżane. Niszczono je pewnie przy bójkach, a później nie było funduszy by wstawić nowe. Jakoś trzeba sobie radzić. Plamy na ścianach. Widać, że wiele się tu wydarzyło. Przy stole w kącie dostrzegł kobietę pasującą do opisu. Szedł w jej kierunku, gdy zaczął go barman.

- Co podać?

- Wystarczy woda. - Odpowiedział Monty spoglądając w bok na gospodarza. Dostał słoiczek wypełniony wodą, niezbyt czysta zresztą. No tak, szklanek też nie mieli. Wyciągnął pieniądze i zapłacił za wodę, zbyt dużo zresztą. Miał to jednak gdzieś. Po takiej podróży miał ochotę na łyk wody, zwłaszcza że jego zapasy się skończyły. Pieniądze posiadał, gdyż dobrze go wynagradzano, za wykonywaną przezeń niebezpieczną pracę. Wziął słoiczek i ruszył do stolika.

Przy chyboącym się stole siedział mężczyzna bawiący się nożem. Był dość niski. Brunet o jasnych oczach i jasnej cerze. Był bardzo zamyślony. Nazywano go Bono, gdyż mimo ciężkich czasów i wszystkich katastrof pieniądze i sława się go trzymały. Nie był jednak szczęśliwym człowiekiem. Brakowało mu czegoś, a raczej kogoś. Zanim zaczęły się zamieszki i nim wprowadzono podział, miał cudowną kobietę. Zaczęły się jednak konflikty w społeczeństwie. Kryminaliści zaczęli sięgać po władzę. Bono tego nie

wytrzymawał. Był w podróży, a gdy wrócił do domu, ten stał pusty. Nie było w środku nikogo, ani niczego. Wiedział że ona by go nie zostawiła. Poświęcał każde środki by dowiedzieć się czegoś, by ją odnaleźć. Minęło już pięć lat i gdy już myślał że zostanie mu po niej tylko zdjęcie, pojawiła się nadzieja. Opłacony przez niego człowiek zginął. Został pchnięty nożem. Gdy Bono udał się do jego domu by odebrać to co zostało z pieniędzy jakie w niego włożył zobaczył pełno informacji o pewnej kobiecie. Wpadł w furie, gdyż jego człowiek oszukiwał go by zarobić. Ucieszył się jednak niezmiernie ponieważ pojawiła się szansa odnalezienia zaginionej. Spakował się, chwycił nóż i ruszył w drogę. Do tej pory podróż jakoś mu szła. Teraz jednak miało być trudniej. Musiał przedostać przez pustynię Comoro. Ta droga była chyba jedyna. Ruszenie w nią w pojedynkę równa się z samobójstwem. Warunki są bardzo nie sprzyjające. Poza tym pustynia jest strzeżona przez bojówki Hellassi-ego. Jest on przywódcą tych wszystkich kryminalistów. Bandziory zabijają wszystkich niewinnych ludzi, przejeżdżających przez pustynię i łupią ich. Bono czuł się bezradny. Z rozmyślań nad beznadziejnością sytuacji wyrwał go usłyszany fragment rozmowy. "...przez Comoro". Nie wierzył własnym uszom. Spojrzał w kierunku z którego padły te słowa. Zobaczył mężczyznę średniego wzrostu o ciemnoblonde włosach rozmawiającego z jakąś kobietą. To niewątpliwie on to powiedział. Bono miał ochotę podejść, ale mogłoby się wydawać, że podsłuchiwał a za to można nawet zginąć. Po chwili stwierdził, że musi wykorzystać każdą szansę. Podeszedł do stolika.

- Witam. - Zaczął. - Jestem Bono.

- I co z tego? - Zapytał Monty.

- Może interesuje cię praca? Mogę ci ja dać. - Powiedział Bono uśmiechając się.

- Nie potrzebuje pracy. Dziękuję.

- Daj spokój. Muszę przedostać się do Woombatoo. Potrzebuje wsparcia.

- Tam można się dostać wyłącznie przez Comoro, nie mogę ci pomóc.

- Zapłacę.

- Nie potrzebuje kasy. Daj mi spokój człowieku.

- Proszę... To dla mnie ważne.

Monty przypomniał sobie swoje dzieciństwo. Wychował się na starych komiksach o super bohaterach. Zawsze chciał naprawić świat i właśnie dlatego należał do opozycji Hellassiego.

- Czy oprócz ciebie ktoś jeszcze chce się tam dostać?

- Nie. Tylko ja.

- Dobrze, mogę zmienić swoją trasę, by prowadziła przez Comoro.

- Wiedziałem, że okażesz łaskę.

- W porządku. Przygotuj się do podróży.

- Kiedy wyruszamy?
- Nazajutrz, z samego rana.
- Czy masz jakąś obstawę?
- Jeszcze nie, ale w trakcie podróży przyłączą się do nas posiłki.
- Doskonale.
- Do jutra.

Bono szybko opuścił lokal. Monty przyjął paczkę od Klary, dopił wodę i ruszył w miasto zaopatrzyć się na kolejną podróż. Kupił konie, które w tych czasach hodowano dość często, głównie ze względu na brak pojazdów. Nabył także zapasy żywności na parę dni. Słyszał, że podróż może trwać pięć dni.

Między skałkami, na samym początku pustyni Comoro... "Nienawidzę pustyni Comoro!" - Właśnie to myślał teraz Maurice, człowiek z blizną na twarzy. Zbyt często musiał pokonywać tę drogę. Był jak sęp. Pustynie znał dość dobrze, o ile można ją w ogóle poznać. Nie należał do żadnej ze stron. Nie był buntownikiem, nie był również oprychem Hellasiego. Po prostu chciał przeżyć. By zapewnić sobie dobrą sytuację wędrował przez pustynie i zbierał to, co zostało po ofiarach bandytów. Jego twarz była zszarzała od piasku, a ubranie brudne i zniszczone przez czas. Szedł cicho przez pustynię. Liczył na to że za chwile dostrzeże jakieś resztki, którymi bandyci pogardzili. Nic jednak nie było. Maurice był głodny i spragniony. Nie udało mu się nic wyżebrać. Ludzie byli nieżyczliwi, dlatego życzył im śmierci na pustkowiu, by on mógł się wzbogacić. Usłyszał jakieś odgłosy. Ktoś się zbliżał. Na tej pustyni nie raz otarł się o śmierć. Wiedział, że należy być bardzo ostrożnym, więc postanowił się ukryć. Pustynia była pełna skał i wielkich kamieni, stanowiących świetną kryjówkę nawet dla dużego człowieka. Ponadto Maurice był wyposażony w odpowiedni strój, którego kolor był podobny do koloru otaczających go skał i piasku. Po chwili widział dwie postacie idące w jego kierunku. Nie widzieli go jednak. Był zbyt dobrze ukryty. Gdy przyjrzał im się uważniej, stwierdził że nie są to bandyci. Wolał jednak pozostać ostrożny, obserwował obcych z bezpiecznego punktu. Chciał znać ich wyposażenie. Niższy z nich miał tylko nóż, wyższy zaś nie miał nic w zasięgu wzroku Maurice. Po chwili skojarzył, że tych ludzi widział w Limpeksie. Może dało by się wyciągnąć jakieś profity z tego spotkania. W tej chwili, sam nie dał by im rady, ale może gdyby się do nich przyłączył i poczekał na odpowiedni moment... Wyszedł im na przeciw.

- Cóż robi dwójka ludzi na pustyni bez obstawy? Niestychany widok. - Powiedział Maurice.
- Jeszcze bardziej widzieć jedną samotną osobę. - Odrzekł Monty.
- Gdzie zmierzacie?

- Nie interesuj się.
- Moglibyśmy sobie pomóc.
- Wątpię.
- Poczekaj, w sumie co nam szkodzi. - Wtrącił się Bono. - Będzie bezpiecznie.
- Albo na odwrót! - Stanowczo odpowiedział Monty.
- Możecie mi zaufać. Znam dobrze tę pustynię, mogę pomóc.
- To co, że ja znasz. My nie znamy ciebie. - Odpowiedział wciąż ostrożny Monty.
- Zginiecie tu prędko. Nie macie już zbyt wiele zapasów. Pewnie nie wiecie gdzie jesteście.
- Jak nie mamy zapasów. Mamy tu pełno... - Monty przerwał na chwilę spoglądając na konia. - Gdzie jest nasza woda? Cholera!
- Musiała nam wypaść po drodze. - Powiedział Bono.
- Że co?! Nie jesteśmy aż takimi idiotami chyba.
- A jednak. - Rzekł Maurice.
- Zamknij pysk psie! Możesz zginąć szybciej od nas.
- Spokojnie, ja chce tylko pomóc. Mam wodę. Podzielimy się. Chcę w zamian za nią bezpieczeństwa.
- Posłuchajmy go, proszę. - zaproponował Bono.
- Hmm, chyba nie mamy wyjścia. Ale spróbujesz tylko jakichś sztuczek...
- Rozumiem. Trochę zaufania.
- W drogę. Wieczorem odpoczynek.
- Jasne szefie.

Trzej wędrowcy zaprzęgli konie i ruszyli w kierunku, w którym położone jest Woombatoo. Pogoda przez dłuższy czas im dopisywała, to znaczy było pochmurnie i stosunkowo chłodno. Wiatr nie był silny i nie zapowiadało się na burzę piaskową. Wieczorem zaczęło się ochładzać, chmury stopniowo znikaly z nieba. Monty zaproponował rozbić obozowiska. Postawili obóz szybko, składał się on z trzech namiotów i ogniska. Drewno pochodzące z zeschniętych drzew paliło się dość szybko, więc w ich interesie było szybko zjeść kolację i zasnąć. Bono szybko zasnął, trzymając swój nóż przy boku, pewnie z przyzwyczajenia. Monty czuwał. Nie mógł zaufać Maurice'owi. Po kilkudziesięciu minutach, spędzonych przy dogasającym ognisku Maurice zerwał się z pół snu i wycelował swój pistolet wątpliwej jakości w stronę Montego. Monty bez chwili namysłu sięgnął po strzelbę i wycelował w domniemanego napastnika. Zanim zdążył cokolwiek pomyśleć Maurice pociągnął za spust. Poleciała krew i Monty usłyszał głośny pisk za swoich pleców. Maurice podszedł do martwego stworzenia ze swoją latarką, która w tych czasach jest swego rodzaju skarbem. Oglądnowszy trupa rzekł:

- Mamy kłopot. Trzeba budzić Bona.
- Jaki kłopot? Co to za stworzenie? - Zapytał dość zaniepokojony Monty.
- To zwiadowca. Zaraz będzie ich tu więcej. - Powiedział Maurice wskazując na trupa dziwnego stworzenia.

Monty pierwszy raz widział coś takiego. Przypominało przerośniętą Agamę. Maurice poszedł obudzić Bona podczas gdy Monty ładował strzelbę i pistolet. Nim Maurice i Bono zjawili się przy ognisku, zza namiotu Montiego wybiegły dwa stworzenia. W szaleńczym tempie rzuciły się na wędrowców przy tym sycząc. Monty strzelił w prosto w głowę jednemu z nich. Gdy ono padało, Maurice oddał dwa strzały w kierunku drugiego żywego osobnika. Monty strzelił jeszcze raz do zdychającego potwora, którego postrzelił Maurice. W tym samym czasie na dachu namiotu pojawił się kolejny stwór. Inny zaś wskoczył na środek obozu. Padały strzały, tym razem już nie tak celne. Bono stał pomiędzy namiotami przerażony i z nożem w ręku przyglądał się walce. Nagle został powalony na ziemię. Potwór stał już nad nim. Skrępowany Bono zdołał ukłuć go ostrzem noża w stopę. Jaszczurkowate stworzenie odskoczyło, tym samym pozwalając Bonowi wstać. Nim pechowy podróżnik zdołał stanąć pewnie na dwóch nogach, stwór kontratakował. Skoczył na wprost Bona, lecz pechowo dla niego ten zdołał wystawić przed siebie nóż. Bezmyślne stworzenie nadziało się nań i padło martwe. W tym samym czasie walka na środku obozowiska dobiegała końca. Padały ostatnie strzały.

- O cholera! - Krzyknął Monty. - Co to miało być?
- Heh wiedziałem, że się wam przydam. Dobrze znam tę pustynię i niebezpieczeństwa, jakie czyhają na wędrowców wędrujących przez nią. Te stworzenia to jakieś mutanty. Niektórzy w tym Woombatoo mówią, że to dawny wynalazek wojskowych. Na przespiergi wysyłają swoich zwiadowców. Aby uniknąć ataków nie można dopuścić do wezwania, przez nich reszty. - Wyjaśnił Maurice.
- Przecież zabiłeś zwiadowcę! - Krzyknął oburzony Monty.
- Tak ale zdychając zdołał wezwać resztę.
- Masz na myśli ten pisk?
- Dlaczego one nie zaatakowały naszych koni?
- Atakują tylko ludzi. Nie mam pojęcia czemu, ale tak jest. -- Powiedział Maurice.
- Ale przecież ludzie nie wystarczą do wyżywienia takiego stada
- Prawda, żywią się jeszcze różnymi owocami pustyni. Nie atakują innych zwierząt. Ludzi pewnie traktują jako przysmaki.
- Muszę przyznać, że nie żałuję tego iż cie jednak wzięliśmy. Możesz się przydać. Udowodniłeś to.
- Skończcie te rozmowy i idźcie spać. Jutro przed nami kawał drogi. - Krzyknął

z oddali Bono.

- Brak ci rozsądku. Zaatakują nas te stworzenia! - powiedział Monty.
- Nie ma obawy, one nie atakują dwa razy tego samego miejsca. Zwłaszcza po przegranej. - uspokoił Montiego Maurice.

Wędrowcy udali się do swoich namiotów. Wstali o świcie, by przebyć jak największą odległość za dnia. Spakowawszy się wyruszyli w drogę. Podróż się dłużyła... Monty zauważył w oddali sylwetkę zbliżającą się do nich. Była to osoba drobnej postury. Monty spojrział przez lornetkę i ujrzał starszego mężczyznę. Nie posiadał uzbrojenia, przynajmniej tego widocznego.

- Podjedźmy do niego – zwrócił się Monty do towarzyszy.
- Nie radzę, ale niech ci będzie – Maurice wyraził swoje zdanie.

Mężczyzna był dość stary, ubrany w podarte, szaro – beżowe ubranie. Miał przy sobie drobny plecak, zapewne z żywnością.

- Jesteście strażnikami z Limpeksu? - zapytał starzec.
- Nie. Pytanie kim ty jesteś i co robisz sam, bez konia na środku pustyni Comoro? - zapytał Monty.
- Byłem członkiem karawany. Jechaliśmy w stronę Limpeksu, lecz napadli nas bandyci Hellassiego. Nie mieliśmy najmniejszych szans. Broniliśmy się długo, ale ich było więcej i mieli lepsze uzbrojenie. Złupili karawanę. Cudem przeżyłem. Proszę, zabierzcie mnie do miasta...
- Hmm mamy trochę racji żywnościowych, ale nie wiem czy wystarczy na tyle osób...
- Proszę, nie będę was bardzo obciążał. Słyszałem od bandytów o pewnym obiekcie...
- Umiesz się posługiwać bronią? - przerwał Maurice
- Tak, broniłem karawany.
- Weźmiemy go, będzie bezpieczniej. - oznajmił Monty.
- Albo i nie! - krzyknął Maurice oddając strzał w kierunku starca.

Mężczyzna dławiąc się własną krwią padł martwy na piasek.

- Czemu to zrobiłeś!? - krzyknął na Mauricego rozwścieczony i zaszokowany Monty.
- To podstęp! Otruł by naszą żywność. Pewnie ma kryjówkę w okolicznych jaskiniach! Musiałem to zrobić, bo widzę, że nad to ufacie obcy. - wytłumaczył się Maurice.
- Możliwe, ale to nie tłumaczy zabójstwa!
- Ach, daj spokój... I tak nie mogliśmy go wyżywić, lepiej żeby teraz zginął niż umierał z głodu.

- Może masz rację. Pustynia pochłonęła kolejną ofiarę. Ruszajmy dalej.

Po mozolnym marszu na twarzy Montego zawitał uśmiech. Maurice dostrzegł to i zapytał od razu cóż się stało. Po nocnej walce z bestiami wszyscy czuli się bardziej związani. Bardziej sobie ufali. Monty wskazał na skały

- Tam są nasi ludzie. Musimy przekazać im paczkę i dowiedzieć się czegoś nowego.
- Co będziemy z tego mieć? – Zapytał Maurice.
- Głupie pytania zadajesz.
- Po co zgrywać herosów? Powinniśmy dbać o własne tyłki.
- Zamknij się już. Tam jest wejście. Nic nie mówcie. Ja się wszystkim zajmę...

Chwile później cała trójka wchodziła już do jaskini. Na pierwszy rzut oka, jaskinia wydawała się opuszczona. Nie powitano ich od razu, jak spodziewał się tego Maurice. Szli w trójkę wąskim korytarzem przed siebie, cicho i ostrożnie stąpając. Po chwili marszu tunel się rozdzielił. Monty bez wahania wybrał jedną z opcji. Po pewnym czasie Maurice zaczął tracić orientację. Monty musiał znać trasę na pamięć, gdyż nic mu nie pomagało. Nie miał żadnej mapy. Zdziwiony Maurice zapytał Montiego:

- Skąd znasz tą trasę? Byłeś już tutaj wcześniej?
- Nie. Mam dobrą pamięć. Zapamiętałem mapę, a potem ją spaliłem, by nie wpadła w niepowołane ręce. - uciał krótko Monty.

Szli dalej. Byli już na pewno pod ziemią. Maurice nie wiedział ile dokładnie. Gdyby nie latarki powrót z jaskini byłby niemożliwy. Maurice cieszył się teraz, że jakby co, to ma własną, choć i tak nie miał najmniejszego pojęcia jak z tąd wrócić. Nie miał wyboru, musiał być posłuszny i grzeczny, inaczej mogło by się to źle dla niego skończyć. W pewnej chwili zauważył na ścianie jaskini wykrobaną literkę "R". W tej samym momencie Monty się zatrzymał. Powiedział dość głośno: "Równość i sprawiedliwość". Po kilku sekundach dało się usłyszeć kroki. Ktoś szedł w ich kierunku. Po paru sekundach na przeciw wyszła im wysoka kobieta.

- Witaj... Monty. Kim są twoi towarzysze?
- Obstawa. He he, żarty. Spotkałem ich po drodze. Bez obaw, nie są po stronie Hellassiego.
- Cóż nie mamy wyboru musimy im zaufać, ale skoro ty im ufasz to w porządku. Mogą wejść dalej z nami.

W jaskini było chłodno. Wkroczyli do jakiejś większej komory prowadzeni przez kobietę. W środku znajdowały się stoły, na których leżała broń, mapy i inny

ekwipunek. Kręciło się w środku kilka osób. Na stole na środku sali znajdowała się makieta. Wszyscy ludzie patrzyli teraz na nich. Podszedł do nich człowiek i podał dłoń Montemu.

- Witaj! - Rzekł.
- Cześć Henryku!
- Masz paczuche?

Panowie wymienili kilka kuksańców po czym Henryk odebrał paczkę. Odszedł do jakiegoś stolika po czym kazał im podejść do makiety. Cała trójka tak też uczyniła. Makieta przedstawiała kawałek Comoro. Na środku znajdowała się jakaś wieża. Monty widział już ją gdzieś. Na rysunkach i projektach. Wiedział, że to co widział nie wróżyło niczego dobrego. Po chwili Henryk dołączył do nich.

- Tak, tak Monty. Niestety, nie wydaje Ci się. Oto wieża. Wielu naszych zginęło usiłując się tam dostać. Nie mieli wystarczających umiejętności. Nasi zwiadowcy odkryli coś jednak. Sposób na dostanie się do wieży. A jak się z niej wydostać? Tu jest problem. Nie wiemy. To musi być improwizacja. Musimy zebrać zespół, który odważy się podjąć to ryzyko, by zabić Waltera, lokalnego herszta bandytów, najlepszego współpracownika Hellassiego. Na pewno wewnątrz wieży znajdują się też mapy i plany działania bandytów.
- Heh ciekawe gdzie takich znajdziecie - nie powstrzymał się i wtrącił Maurice.
- Zamilcz. - Powiedział Mont
- Kto to? - Zapytał Henryk
- Towarzysz podróży - Odpowiedział Monty. Odwrócił się do Mauricea i dodał: - Ty nie musisz nigdzie iść.
- No chyba nie chcesz tam iść? To szaleństwo!
- Być może.
- Wiedziałem, że można na ciebie liczyć - powiedział Henryk - Nie pójdziesz Sam oczywiście! Idzie cały zespół. Jest jeszcze dwóch ochotników.

Do stolika podeszło jeszcze dwóch mężczyzn wezwanych ruchem reki. Jeden z nich był nieprzeciętnej postury. Mierzył ponad dwa metry i był bardzo dobrze zbudowany. Drugi był jego przeciwieństwem - Chudy rudzielec. Gigant przedstawił się im jako Mustang, rudy mężczyzna zaś jako Bastian.

- Chwileczkę... - Zaczął Bono - Jeżeli ty idziesz, to ja też.
- Nie musisz, to bardzo niebezpieczne zadanie. Ja muszę iść, gdyż to moja praca. Wychowałem się na komiksach o super bohaterach. Zawsze chciałem czynić ten świat lepszym. Jeżeli miałbym przez to zginąć, to niech i tak będzie. Nie będę żałował tej śmierci.

Nastała krótka cisza. Po chwili Bono powiedział:

- Idę...

- To twoja decyzja, jak chcesz. Cała czwórka idzie?
- Chwila! - Zaczął Maurice. - Jaka czwórka, piątka. Beze mnie sobie nie poradzicie. Chyba już tego dowiodłem.
- He he, wiedziałem przyjacielu. - Rzekł serdecznie Monty.
- Doskonale - Powiedział Henryk patrząc na całą piątkę. - Czas przydzielić wam zadania.

Po chwili namysłu Henryk zwrócił się do Montego:

- Monty, ty tu dowodzisz, musisz poprowadzić tą drużynę. Zaopatrzyć się w broń, będzie potrzebna.

Maurice stwierdził, że byłby lepszym przywódcą, gdyż lepiej zna tą pustynię. Nic jednak nie powiedział.

- Bastian, wiesz co masz robić. Bierz apteczkę i jak któryś oberwie to go połataj.
- Tak jest! - odpowiedział chyży mężczyzna.
- Mustang, dopilnuj by nikt was nie zatrzymał
- Dobrze - odpowiedział niskim głosem wielkolud.
- Pozostała dwójka niech robi to co potrafi najlepiej - dodał Henryk.
- Dobra, a teraz konkrety! jak dostać się na wieżę? - Zapytał Monty.
- Od góry...
- Co?!
- Dobrze słyszałeś. Oni się tego nie spodziewają. Z góry można dostać się do środka.
- Jak dostaniemy się na górę?
- Mamy plan. Posiadamy wyrzutnię harpunów. Jest na tyle mocna, że powinna dostrzelić harpun z liną z poziomu wierzy na jej szczyt, lecz lepiej się zabezpieczyć. Wasze konie wywiozą ją na wzgórze położone najbliżej wieży. Liny są na tyle mocne, że utrzymają dwie osoby na raz. Musicie bardzo uważać przy wystrzeliwaniu harpuna, bo jak nie traficie, mogą pojawić się kłopoty. Pamiętajcie, by po wspinaczce wciągnąć linę. Jeśli tego nie zrobicie, ktoś może ją uciąć gdy będziecie w środku. - wyjaśnił Henryk poważnym tonem.
- Brzmi rozsądnie. Lepiej bym tego nie opracował.
- Zatem bierzcie się do roboty!
- A nocleg? - zapytał Bono
- Nie ma na to czasu. Zwiadowcy donoszą, że dziś w nocy patrole wokół wieży są nieliczne i macie sporą szansę na wślizgnięcie się do niej niezauważeni.
- Rozumiem, wyruszamy natychmiast – powiedział Monty
- Wyrzutnie dadzą wam nasi ludzie, powodzenia!

Wędrowcy udali się w kierunku wskazanym przez Henryka. Przywiązali wyrzutnię do koni i wyruszyli w odpowiednim kierunku. Podróż była długa, gdy się ściemniło, mróz już mocno doskwierał podróżnikom. Przez parę godzin wędrowali w milczeniu, zbierając myśli i koncentrując się przed zbliżającą się wielkimi krokami misją. Po pewnym czasie ich oczom zaczęła ukazywać się wieża wysoka na dziesięć metrów, szeroka na tyle, by sprawnie mogli operować w niej ludzie. Wjechali końmi na pagórek, naładowali i ustawili wyrzutnię. Przeładowali pistolety, Bono sprawdził swój nóż. Monty rozglądał się przez lornetkę po okolicy. Zauważył patrol. „Nie będzie łatwo” - pomyślał.

- Gotowi? - zapytał Monty
- Tak – odparli towarzysze.
- Bastian, strzelaj.

Bastian uruchomił wyrzutnię. Pocisk wzbił się w powietrze i perfekcyjnie wleciał na dach wieży. Harpun wbił się w szczyt wierzy wywołując nie małe zamieszanie. Gdyby nie maszynki przemieszczające ich szybko po linie nie dali by rady. Znaleźli się jednak na szczycie bardzo szybko. Cała piątka. Słysząc było na przemian krzyki i strzały z broni. Kule latały we wszystkie strony. Bono zaszedł jednego ze strażników który wyszedł na dach od tyłu i nim ten zdążył cokolwiek zrobić, jego gardło zostało poderżnięte. Monty i Maurice stanęli do siebie plecami. Byli jak jeden strzelec mający broń i oczy dookoła. Strzały Mustanga nie dosięgały celów, toteż ten wyrzucił broń i zaczął podbiegać do wszystkich robiąc uniki i tłukąc ich pięściami. Dziwne, że nie zginął. Był przecież bardzo duży. Jednym uderzeniem potrafił poważnie uszkodzić. Gdy rozprawili się z tuzinem bandytów który wyszedł na dach przyszła kolej na zejście w dół wieży.

Zeszli po drabinie w dół. Pomieszczenie było puste. Widać było schody, a z dołu dobiegał odgłos biegnących w ich stronę bandytów. Wszyscy spojrzeli po sobie. „Nie dadzą nam rady, nie mają szans” - Powiedział Mustang. I rozdzielili się.

Monty chwycił poręcz schodów i wybił się z całej siły. Wyskoczył jak sprężyna. Kilku bandytów wbiegało już na to piętro. Monty wylądował obiema nogami na barkach jednego z nich. Wycelował i strzelił mu w sam środek czoła. Odbił się nogami i wykonał salto do tyłu. Inni bandyci dostrzegli tylko opadające ciało ich towarzysza i serię kul zza niego. To było ostatnie co widzieli. Zaczął biec dalej w dół. Dostrzegł już kolejną dwójkę. Z rozbiegu odbił się nogą od ściany i z wyskoku kopnął jednego z nich kolanem w twarz. Oszołomiony wpadł na kolegę, przez co tamten nie mógł wycelować w intruza. Monty sprawnie wycelował pistoletami w każdego z nich i wykończył ich. Nagle koło jego twarzy przeleciała kula. Szybko odskoczył do tyłu. Padł na ziemię. Zjechał niżej po

schodach. Wycelował w przeciwnika, lecz nie rozległ się odgłos strzału zarówno ze strony bandyty jak i Montego. Brak amunicji. Bandyta chciał uderzyć wroga, lecz ten zrobił unik i uderzył go pięścią w gardło. Z powodu braku powietrza człowiek Hellassiiego padł. Znalazł się na piętrze gdzie znajdowało się kilka pomieszczeń. Wpadł do jednego z nich. Dostrzegł wielki komputer. Wyciągnął kanisterek z plecaka połał cały sprzęt po czym rzucił w niego podpaloną zapalniczką. Nagle usłyszał strzał i poczuł przeszywający ból w ramieniu. Padł szybko i przeturlał się za metalową szafkę. Dym utrudniał mu widoczność. Słyszał kroki. Ktoś się zbliżał. Wyciągnął powoli nóż. Gdy słyszał, że agresor jest już blisko, wyskoczył zza mebla wbijając mu nóż w pierś. Wyrwał mu ze słabnących rąk pistolet. Zatałmował krwawienie z ramienia prowizorycznym opatrunkiem z części ubrania. Biegł dalej.

Bono nie wiedział co się dzieje. Zdjęcie swej ukochanej miał przy piersi w kieszeni. Kurczowo ścisnął nóż w dłoni. Biegł schodami. Widział rzeź jaką przed chwilą zrobił Monty. Liczył, że zbiegnie w dół wieży jak najszybciej bez mniejszych tarapatów. Pojawił się przed nim bandyta celując w niego. Był za daleko by nóż Bona mógł go dosięgnąć. Rozległ się strzał. Padł bandyta a zza Bona wybiegł szybko Maurice. „Uważaj!” - Krzyknął. „Ja przeszukam te pomieszczenia, ty biegnij dalej w dół” - Dodał po chwili. Biegł więc dalej. Dogonił go po chwili Mustang. Razem zbiegli na kolejne piętro.

Ich oczom ukazało się pomieszczenie z otwartymi drzwiami. Mnóstwo w środku szafek i szafeczek. Bono zatrzymał osiłka i zaproponował przeszukanie pomieszczenia. Wbiegli do środka. Znaleźli jakieś mapy pustyni i plany. Mogło chodzić właśnie o to. Zabrali tyle dokumentów ile się dało. Resztę postanowili spalić. Mieli już wracać gdy zobaczyli sporą liczbę bandytów, czekających na nich. Bono był pewien, że to już jego koniec. Mustang krzyknął: „Miałem dopilnować by nikt nas nie zatrzymał i tak też uczynię”! Chwycił w furii jedną z płonących szafek i cisnął nią w oprychów. Po tym sam wybiegł im na spotkanie. Nie miał dla nich litości. Thukł ich i łamał im kończyny. Słychać było również i strzały. Olbrzym wynurzając się spośród bandytów nakazał Bonowi uciekać. Sam zaś walczył do upadłego. Bono biegł dalej i dalej aż zbiegł na sam dół. Pociągnął za wajchę przy drzwiach i wybiegł na pustkowie. Uciekał przed strzałami z wieży. Rudzielec spotkał Montego. Opatrzył go na tyle porządnie na ile pozwolił mu czas. Po chwili znów się rozdzielili.

Maurice wbiegł do pomieszczenia na którego drzwiach było napisane „Walty”. W środku znajdował się mężczyzna wyróżniający się spośród innych bandytów jakich Maurice zabijał. Uśmiechnął się. „ Ciekawe ile mi dadzą za

Twoją głowę” - Powiedział niezapowiedziany gość. Walter uśmiechnął się, spojrzął za plecy mężczyzny trzymającego go na muszce. Do pomieszczenia wbiegło pół tuzina bandytów. Maurice nie był już taki pewny siebie. Do pokoju wbiegł również Bastian. Zginął na miejscu dosięgnięty przez kule jednego z Ludzi Hellassiego. Maurice dostał w łydkę. Skulił się. Walter przyłożył pistolet do jego czoła. „Grozisz mi robaku?” Miał już strzelić gdy jeden z ludzi powiedział, że brakuje planów, gdyż jeden z intruzów je zabrał. Walter zastanowił się przez chwilę. „Może możemy się jakoś dogadać...” - Zaczął.

Monty spotkał Maurica przy wyjściu.

- Zabiłem Waltera! - Krzyknął Maurice.
- W takim razie już nic tu po nas gdyż widziałem, że dokumentów też już nie ma.
- Wynośmy się stąd.

Wybiegli szybko z wieży i biegli w kierunku wzgórza gdzie czekały ich konie, przy których czekał już Bono. Wszyscy pomimo ran cieszyli się wspólnym zwycięstwem.

- Wracamy do jaskini oddać papiery? - zapytał Bono
- Nie. Henryk powiedział, że powinniśmy je zanieść do Woombatoo. - wyjaśnił Maurice.
- Dobrze, zatem ruszajmy.
- Znam krótszą drogę do Woombatoo, a zależy nam przecież na czasie, żeby bandyci nic nie zdążyli zrobić. - zaproponował Maurice.
- Jaka to droga?
- Przez góry...
- Żartujesz chyba. Mamy się wspinać w takim stanie? Jesteśmy ranni i zmęczeni.
- A co? Uważasz, że możemy pozwolić sobie na spacer?
- Może masz rację...
- Wiem co mówię.
- No cóż, musimy zrobić wszystko co w naszej mocy by dostarczyć papiery jak najszybciej. W drogę przez góry!

Wędrowcy wyruszyli w dalszą drogę, dyskutując przy tym wiele o walce, jaką stoczyli z bandytami. Wiedzieli, że nie mogą się zatrzymywać na zbyt długi czas, bo bandyci nie pozostają im dłużni. Na pewno zorganizowali już jakąś grupę pościgową. Postoje były krótkie. Przed nimi były jeszcze dwa dni wędrówki. Nazajutrz, Bono sprawdził broń i odkrył, że nie posiadają już amunicji. Ten fakt wstrząsnął podróżnikami, zwłaszcza, że prawdopodobieństwo spotkania bandytów lub innych nieprzychylnych stworzeń podczas wędrówki przez góry

było bardzo wysokie. Po kilku godzinach ich oczom ukazała się jakby karawana złożona z dwóch koni, woźnicy i wozu. Gdy zbliżali się do niej okazało się, że woźnicą jest kobieta.

- Co pani robi sama w tym rejonie? - zapytał Monty
- Handluję... rozwiązuję problemy. Widzę, że wy macie jakiś problem... - powiedziała kobieta.
- Problem? Może tak, może nie. A skąd pani to wie? - zapytał zdziwiony Monty
- Och, nie sztuka tego nie zauważyć. Jesteście zmęczeni, powoli zaczyna wam brakować wody i zapewne broni...
- Tak, potrzebujemy broni i wody... Mam pieniądze. - wtrącił się Bono
- Nie interesują mnie pieniądze. Ten koń wygląda ładnie – powiedziała kobieta z uśmiechem na twarzy wskazując na konia na którym jechał Bono.
- Konia za broń i wodę? To potworne... - powiedział Monty zdając sobie sprawę, że nie kupując wody zginą z pragnienia. Jeżeli zaś sprzedadzą konie, bandyci będą mogli ich dogonić.
- W życiu trzeba dokonywać wyborów – powiedziała kobieta.
- Niech będzie. Wolę zginąć w walce niż wyschnąć na pustyni

Po dokonanej wymianie ruszyli w dalszą drogę. Po paru godzinach dotarli do gór. Zaczęli wspinaczkę. Rany dawały się we znaki. Ból przeszywał ramię Montego. Docierali już do góry. Czekala ich teraz już tylko długa i mozolna wspinaczka. Pierwszy wspinął się Maurice. Prowadził ich. Podobno dobrze znał te góry. Tuż za nim Monty. Nie dawał po sobie poznać, że cierpi. Zacisnął zęby i wspinął się dalej. Na końcu był Bono. Myślał tylko o tym, że już wszystko co najgorsze za nimi i że już niedługo będą w Woombatoo. Nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Wiał silny wiatr lecz oni dalej się wspinali. Było dość chłodno. Warto jednak było męczyć się dla tego co mieli osiągnąć. Dla każdego miało być to coś innego. Maurice się nie odzywał. Był bardzo skupiony. Ich dłonie były poranione od skał. Zbliżali się już jednak do szczytu. Pierwszy wszedł Maurice. Nic nie było słyhać. Gdy Monty wchodził już na szczyt tuż za nim spostrzegł swego towarzysza stojącego pośród bandytów. Był z nimi i Walter. A przecież Maurice zapewniał go, że nie żyje.

Przykro mi, że tak to się kończy. - Zaczął Maurice. - Musiałem troszczyć się o siebie. To ty nas w to wpakowałeś, więc nie mogłeś oczekiwać niczego innego.

- Zdrajca...
- Spójrz na to z dobrej strony. Zawsze chciałeś umrzeć jak bohater za słuszną sprawę. Pamiętasz?

Monty spojrzal na bandytów podnoszących broń i celujących w niego. Zacisnął pięści. Spojrzal na swych wrogów spode łba. Zmarszczył brwi.

- To egzekucja a nie śmierć bohatera. - Powiedział i zacisnął zęby.

Wiatr zaczął silnie wiać w kierunku Montego, jakby popychając ich do tego czyny. Wszystko przeciwko niemu. Wiatr i piach. Rozległa się salwa. Teraz z wiatrem leciały także kule. Monty padł na ziemi. Walter podszedł do Maurica. „Dobrze się spisałeś, jednak nie znajdziesz u mnie pracy. Nie potrzebujemy zdrajców”. Dwóch bandytów chwyciło zdrajcę od tyłu i owinęli łańcuch na szyi. Powiesili go na metalowym, skośnym słupie. Widział ciało Montego leżące bezwładnie na ziemi. I wszystko zaczęło się rozmywać. Na szczyt nie wszedł Bono. Słyszał co się stało. Bał się. Spojrzał na zdjęcie raz jeszcze, po raz ostatni. Słyszał już kroki bandyty. Ze szczytu celowano już do niego z pistoletu. Kula trafiła w sam środek czoła. Jego ciało oderwało się od szczytu i spadło na sam dół. Wszyscy bohaterowie się różnili. Każdy człowiek jest inny. Kierowały nimi różne motywy. Ostatecznie spotkał ich ten sam los. Wszyscy zginęli. Teraz pozostał im już tylko ostatni przywilej żywych – Sen.